

Arłukowicz
- recepta na kłopoty

Hołdys przestłuchuje
Owsiaka

Prawicowe media
- taniec ze SKOK-ami

wprost

RAK, RULETKA, STRACH

Grzegorz Miecugow
- wygrał z nałogami,
teraz gra o życie



www.wprost.pl

Knajpa nasza codzienna

DLA DZISIEJSZYCH „PIĘKNYCH DWUDZIESTOLETNI” TO MIEJSCE SPOTKAŃ, PRACY I ODPOCZYNEKU. Nie rozumieją pytania o to, czy czują się tu bardziej jak w domu, czy jak w świetlicy albo biurze. – Jak to jak? Jak w knajpie! – odpowiadają, robiąc miejsce przy stoliku. Ale czy knajpy dla hipsterów to dobry biznes?

EWA WESOŁOWSKA

Choć Syreni Śpiew miał być oficjalnie otwarty dopiero w miniony weekend, to już wcześniej niejednemu udało się zajrzeć do środka. Martynie Sachanowicz, 25-letniej prawniczce, podobały się miękkie kanapy, w które można „się zapaść”, a także mozaiki na ścianach i kasetonowy sufit pamiętający czasy Edwarda Gierka. Z kolei Piotrek Zdanowski, przyszły technolog żywności, już wie, że bywalcem Syreniego Śpiewu nie będzie. – Drinki po 20-30 zł są dla mnie nie do przełknięcia – mówi. – W Powiększeniu czy na Chłodnej 25 czuję się bardziej swojsko.

Bartosz Kraciuk, Norbert Redke i Hubert Karsz – pomysłodawcy i właściciele knajpy – śledzą takie opinie na Facebooku. Jeżeli młodzi knajpy nie zaakceptują, to Syreni Śpiew może okazać się skałą, o którą rozbijają się ich marzenia. Jeśli klienci „kupią” klub, to zapewne będzie on najmodniejszym salonem warszawski, podobnie jak wcześniej Warszawa Powiśle, otwarta trzy lata temu w wyremontowanym budynku dawnej dworcowej kasy. Warszawscy „piękni dwudziestolenni” natychmiast pokochali tę mieszankę prostoty i oldskulowych klimatów.

5-10-15, czyli jak zarobić na hipsterach

Hubert Antonowicz przychodzi do Karmy przy warszawskim placu Zbawiciela niemal codziennie koło 10 rano. Siada

w ogródku, a jesienią i zimą w sali. Zamawia kawę, dwa tosty i otwiera komputer. Klasyczny hipster w ciuchach z lumpeksu i z białym macintoshem. Siedzi do wieczora. Pisze e-maile, czasami przygotowuje jakiś projekt dla agencji reklamowej, z którą współpracuje. Jak się znudzi, wchodzi na Facebooka. Ale nudzi się rzadko, bo ciągle wpada ktoś znajomy. – Człowiek pogada, poplirtuje z panienkami, umówi się na wieczorną imprezę... – mówi.

Z badań TNS OBOP wynika, że aż 70 proc. współczesnych 20-, 30-latków stołuje się regularnie poza domem (dla porównania, z tych po pięćdziesiątce do jedzenia na mieście przyznaje się mniej niż co piąty). Skoro jest rynek, to pojawiają się chętni, by na ten rynek rzucić „towar”. W Warszawie zaczęły powstawać takie miejsca jak Warszawa Powiśle, OSiR przy Tamce, Powiększenie przy Nowym Świecie czy Plan B i Karma przy placu Zbawiciela. Założyli je młodzi ludzie, którzy znają gust rówieśników. Do własnych oszczędności dokładają pieniądze zbierane przez rodziny i unijne dotacje. Kilkadziesiąt tysięcy złotych starczy akurat na wynajem lokalu i koncesję na alkohol.

Hitem 2010 r. był 5-10-15 na rogu ul. Mokotowskiej i Hożej, gdzie w trzypiętrowej kamienicy działał przez parę miesięcy cały konglomerat kulturalno-klubowy, z barami, galeriami, pracowniami artystycznymi, a nawet profesjonalną ciemnią fotograficzną. Była też przestrzeń z wygod-



BARTOSZ KRACIUK I NORBERT REDKE, pomysłodawcy i właściciele Syreniego Śpiewu na warszawskim Powiśle

nymi kanapami i fotelami (z recyklingu), a na podwórku stały leżaki i stoliki, przy których można było przesiedzieć pół dnia jak na plaży.

– Zupełnie jak Tacheles w Berlinie – wspomina Marianna Kielecka, 25-latką z Mokotowa, która spędziła tam niemal całe wakacje. W tygodniu do klubu przychodziły setki osób, a w weekendy ponad tysiąc. Założyciel klubu Bartosz Stroński nie chce mówić o obrotach, ale biorąc pod uwagę liczbę gości i wypijanego przez nich piwa, można je szacować na jakieś 10-20 tys. dziennie. Idylla trwała jednak tylko kilka miesięcy, bo kamienica poszła do rozbiórki.

Rok później Stroński założył Dolinę Muminków. Latem w parku przy ulicy



SIEDMIU na dziesięciu 20-, 30-latków stołuje się regularnie poza domem. W barze Charlotte przy warszawskim placu Zbawiciela mogą zjeść np. wypiekane na miejscu bagietki

Rozbrat na leżaczkach, pod parasolami, z butelką piwa, wody mineralnej lub lajka, czyli cydru z polskich jabłek, zasiadali nie tylko hipsterzy z laptopami, lecz także matki z dziećmi, urzędnicy, którzy wymknęli się z biur na lunch czy okoliczni emeryci. Wieczorami bywało ostrzej, o czym świadczyły butelki walające się po krzakach i śmierzące budki Toi-Toi.

Na początku była kultura

Największą estymą wśród stołecznych bywalców cieszy się Chłodna 25 Grzegorza Lewandowskiego. Codziennie przychodzi tam po kilkaset osób. Ale gdy sześć lat temu Lewandowski, świeżo upieczony prawnik, zakładał swą klubokawiarnię, o hipsterach jeszcze nikt nie słyszał, a sam pomysł mógł się wydawać dziwaczny. Kto słyszał, by otwierać lokal na robotniczej Woli i zamiast imprezami prowadzonymi przez modnych didżejów nęcić ludzi wystawami czy dyskusjami o architekturze? Jak ktoś wtedy chciał zarabiać na gastronomii, to wynajmował lokal przy Nowym Świecie, wykładał 200 tys. na profesjonalny projekt i designerskie meble, a potem serwował wymyślne dania po 60 zł. Blichtr i drożyna działały jak magnes na nowobogackich.

Lewandowski takiej kasy nie miał, ale też nie musiał zarabiać kokosów. Chciał miejsca, w którym spotka się ze znajomymi i gdzie zawsze coś ciekawego będzie się działo. A przy okazji chciał zarobić parę

groszy. Zaczął od sprzedaży piwa z niewielką marżą i tanich ciepłych kanapek. Zapraszał niszowe zespoły muzyczne, urządzał wernisaże i wieczory autorskie. Czasem ściągął ludzi na debatę polityczną, na której za by brali się na przykład Jan Olszewski ze Stanisławem Cioskiem. Były nawet koncerty Bacha i konkursy recytatorskie. Wstęp za darmo, czasem za kilka złotych. Co jakiś czas klub organizował wymiany, podczas których można było pozamieniać się z innymi na ubrania, meble, książki lub niepotrzebny już sprzęt elektroniczny. – Chcieliśmy pokazać, ile fantastycznych rzeczy i przedmiotów leżuje na śmietnikach, bo już się znudziły – wspomina Lewandowski.

W latach boomu gospodarczego Chłodna 25 wydawała się ekscentrycznym dziwadłem, ale szybko stała się modna zarówno wśród zwolenników alternatywnej kultury, jak i studentów, którzy dość mieli zarówno clubbingu, jak i grillów w podmiejskich domach rodziców.

Idzie nowe, czyli hipster dorasta

Czas jednak płynie, hipsterzy się starzejają, a wraz z wiekiem rosną wymagania. Bywalcom kultowych knajp sprzykrzyły się krzesła z demobilu i „tojtójki” w krzakach. Dlatego w zeszłym roku część przeniosła się do baru Charlotte przy placu Zbawiciela, założonego przez Justynę Kosmałą i Ewę Luniewską. Pierwsza, trzydziestokilkuletnia urzędniczka, parę lat praco-

wała w knajpach we Francji. Zagaduje gości, sprawdza chrupkość wypiekanych na miejscu bagietek, degustuje sprowadzane z Francji wina i oliwę. Druga – były bankowiec – jak maszyna liczy pieniądze i pilnuje porządku: sprawdza, czy nagrzewnice w ogródku nie palą się niepotrzebnie, czy klienci za długo nie czekają na zamówienie, a jak trzeba, to podniesie papierek z podłogi i zgasi światło w toalecie.

Centralne miejsce Charlotte to duży drewniany stół. Siedzą przy nim obcy sobie ludzie, wymieniają się gazetami, podają słoiki z dżemem, zagadują. Czasem pojawi się minister Michał Boni, Anna Nehrebecka czy Hanna Gronkiewicz-Waltz.

W Warszawie zaczyna być jak w Paryżu czy Berlinie. Konkurencja zaczyna sprawiać, że wizyta w knajpie przestaje być luksusem. – Marże, zwłaszcza na kawę czy herbatę, są u nas wciąż mocno przesadzane – mówi Justyna Kosmała. – Nie ma żadnego powodu, żeby za filiżankę naparu płacić więcej niż 7-8 zł.

Dzięki takiemu myśleniu latem przed wejściem do Charlotte stoi po kilkadziesiąt rowerów, a w ogródku pod filarami siedzą tłumy młodych ludzi. Takich jak Marysia Warska, która niemal każdy dzień zaczyna tu od śniadania. Zamawia kawę, sok i sałatkę. Otwiera laptopa i godzinę nastroja się optymistycznie do życia. – Uwielbiam w czasie jedzenia gadać ze znajomymi na czacie – mówi, poprawiając wpięty we włosy kwiatek. □